Rok III.

Nr. 30. Nr. 30.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 26 lipca 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Bohater pragskiéj uroczystości

z dnia 12 i 13 lipca r. b.

Stósownie do wyrobionych pojęć i moralnéj wartości tworzą sobie narody bohaterów i czczą ich pamięć uroczystemi obchody. Dla jednych, zaślepionych powodzeniem, nadętych pychą staje się ideałem szczęśliwy wojownik - zaborca cudzéj własności a dzień tryumfu przemocy staje się narodowém świętem. Dla drugich, pracujących nad podniesieniem z upadku zrabowanego i rozbitego domu, walczących krwawo o każdą piędź własnéj ziemi, ideałem jest wytrwały a niezłomny rycerz ducha, świętem zaś narodowém każda nowo podjęta skuteczna praca.

Różnica zachodząca między obu powyższemi pojęciami jest zbyt wielka, abyśmy się serdecznie radować nie mieli, iż tak my, Polacy, jak i inne pobratymcze sławiańskie plemiona dodatni wybrali kierunek, biorąc za punkt wyjścia do dalszéj narodowéj pracy chwilę duchowego odrodzenia, czcząc pamięć ludzi, którzy się do tego odrodzenia wybitnie przyczynili.

Józef Jakób Jungmann, którego stuletni dzień urodzin w dniu 12 i 13 lipca uroczyście w Pradze obchodzono, słusznie uważanym być może za opokę, na któréj wzniósł się ten olbrzymi gmach postępu i narodowych sił, jakiemi się dziś Czesi słusznie poszczycić mogą. Syn prostego rólnika z Hudlic dojrzewał w chwili, gdy język Stitnych, Hussa i Komeńskiego dogorywał w pogardzie; gdy tacy nawet ludzie jak Pelzl i Dobrowski godzili się z myślą, iż zbliża się chwila, w któréj mowa czeska z rzędu żyjących języków wymazaną zostanie.

Straszne to były czasy gdy Jungmann zabierał się do pracy. Od pamiętnego dnia 21 czerwca 1621 roku, w którym pod toporem kata na starym rynku Pragi padły ostatnie głowy patrjotów, nikt nie śmiał uchodzić za Czecha a wykształcone stany zaparły się narodowego poczucia i wstydziły się rodzinnego języka. Nieśmiało, przygnębionemi tony odzywał się on pod słomianą strzechą, w lesie i polu — Jungmann podsłuchał go tam, pokochał i wykształcił.

Trzydzieści lat pracy kosztowało go ułożenie olbrzymiego „Słownika języka czeskiego", obok którego napisał monumentalne dzieło „Slovesnost" i przełożył na język czeski kilku obcych klasyków, dowodząc tym sposobem, iż język czeski dość jest bogaty, by w nim pisać i myśleć można. Dając tym sposobem narodowi język zapoznany i przywracając do kwitnącego stanu upadłą lite-

raturę, położył Jungmann podwalinę do dalszego narodowo-politycznego rozwoju, który poczynając się od niego, doszedł dziś do znanych nam świetnych rezultatów, do siły wypierającéj krok za krokiem z czeskiéj ziemi najezdzców i rabusiów.

Dowiodłszy przekładami obcych klasyków, iż język czeski nie ustępuje żadnemu innemu pod względem bogactwa wyrazów i jasności wyrażania najgłębszych myśli, postawił Jungmann po raz pierwszy ideę wzajemności sławiańskiéj, dowodząc, iż język czeski równie jak każden inny sławiański dopełniać i wzbogacać się może z pokrewnych sobie narzeczy. W przedmowie zaś do tłomaczonego z Miltona „Utraconego raju“ wykazuje konieczność wspólnego sławiańskiego abecadła.

Pracując od r. 1807 nieustannie nad olbrzymim czesko-niemieckim słownikiem, nie opuszczał Jungmann ani jednéj sposobności, by rodaków swych uczyć myśleć i czuć po czesku, aby budzić naokół narodową świadomość. Za jego powodem powstało czeskie muzeum, które pragnął przekształcić na czeską akademję. Czytając odezwy jego w téj sprawie pisane, zdumieje się każden nad bogactwem głębokich uczuć i myśli gnieżdżących się w piersi jednego człowieka. Ówczesne czasy za małe były dla wielkich jego planów, nic więc dziwnego, że trzeba było dziesięciu lat usilnych starań, by powołać do życia „Matice ceska“, która niedługo potém stała się rozsadnikiem nowéj czeskiéj literatury.

Podejmując i przeprowadzając tak ważne i liczne prace, miał Jungmann niesłychane przeszkody do zwalczenia. Brak środków materjalnych, prześladowanie opiekuńczego rządu, denuncjacje, zawiść i wszelakiego rodzaju podłości warchołów, ciemnota mas i t. p. zapory nie powstrzymały lotu jego wielkiego ducha. Idąc przebojem na wskroś przesądów i lichych uprzedzeń, oświecał tysiące umysłów i tysiące zapalał serc. Palacki i Szafarzyk to jego uczniowie, własną jego ręką na pole pracy narodowéj wprowadzeni. Wierząc silnie, iż język i literatura są zasadniczemi podwalinami narodowości, kształcił pierwszy, rozwijał drugą. Ponowny zakaz rządu, wykluczający język narodowy ze szkoły, nie przeraził Jungmanna ani też wyrwał z piersi jego haniebnego okrzyku, iż za 25 lat nie stanie Czechów na czeskiéj ziemi. Zawsze spokojny i wierzący odezwał się do młodzieży: „Nie bójcie się, nie rozpaczajcie. Uczcie się w domu po czesku, czytajcie czeskie książki, badajcie sumiennie historję narodu a zostaniecie Czechami i zwyciężycie. Nieznajomość historji i głupota to matka zwątpienia i niepatrjotyzmu.“

W imię takich zasad walczył i pracował Jungmann — więc zwyciężył.

Czesi stawiają mu pomnik — słusznie. Najwspanialszym jednak pomnikiem były niezliczone stowarzyszenia, które, w duchu jego poczęte, szły z chorągwiami w uroczystym pochodzie, i te tłumy nieprzejrzane ludu, które podniósł do poczucia miłości Ojczyzny.

Tryumf stronnictwa „Kakadu.“

List z miasta.

Referat „Dziennika Poznańskiego“ w Nr. 163 ze zgromadzenia wyborców miasta Poznania, odbytego w dniu 17 b. m. w wielkiéj sali bazarowéj, podaje wprawdzie faktyczny przebieg czynności ważnego aktu, nie oddaje jednak kolorytu tego osobliwego, nie swojskiego i nie polskiego obrazu, na utworzenie którego złożyły się dwa obce, gwałtem na polską ziemię importowane żywioły: internacjonał i św. inkwizycja.

Zauważywszy, iż ty, Szanowny Redaktorze, uznałeś za stosowne błyszczeć nieobecnością — kreślę ten tromtadratyczno-komiczny obrazek, z którego ku większéj chwale „ober-lokajów“ zapewne korzystać zechcesz.

Wszedłszy przed siódmą na salę, zastałeś w głębi jéj na prawo od wejścia ołtarz alias stolik przeznaczony dla kapłanów opinji publicznéj a przy nim roztaszowaną „Organiczną pracę“ Dziennika, Kurjerowe „Żal się Boże“ i poczciwinę od Wiarusa. Do kociomuzycznego kwartetu brakło tylko orędującéj pikuliny „Nie łudźmy się, Panowie!“

Na przeciwległéj stronie jaśniała w krześle nieomylność władzy a w pośrodku nieuznających się wzajemnie nieomylności sterczała pusta jeszcze prezydjalna trybuna.

W okolicach opinji usadowiła się garstka „inteligentów“ i cokolwiek poznańskich „Onufrych“ — reszta zaś ławek, mianowicie stykających się z organem czuwającym nad obyczajnością publiczną, stała jeszcze pustkami. Zanosiło się tedy na nieliczne zebranie.

Z uderzeniem siódméj godziny wkraczają tłumy nieznanych lecz w znacznéj części widocznie katylinarnych egzystencji, po za niemi zaś spływa do sali „jasność“ i „Panowie, nie łudźmy się“ od Orędownika.

I niejasnemu stało się teraz jasne, co się święci. Pod okiem wodza ciemne kohorty zajęły strategicznie obronne stanowiska i po całéj sali rozesłały flankierów. W przyzwoitém, niekoniecznie kompromitującém i pozwalającém w razie potrzeby wyprzec się solidarności oddaleniu rozwinęły się rezerwy pod wodzą zapoznanéj wielkości nowo importowanego hipokratyczno-politycznego ułamku.

Pierwszy atak wymierzono na prezydjalne krzesło. Gdy jednak kohorty nie zrozumiały danego im hasła i nie wiedziały, kogo wybrać mają, inteligenty i Onufrowie wpadli w rozerwane szyki i posadzili swego kandydata

Po tak dokonaném dziele udrapowana w niejasne frazesa „jasność“ łudzić siebie i słuchaczy poczęła — powtarzając nieustannie: „Nie łudźmy się, Panowie.“

„Nie łudźmy się, Panowie! Za lat 25 nie będzie Polaków w całém Księstwie Poznańskiém (Kohorty biją brawo), jeżeli kandydaci na posłów nie zobowiążą się na piśmie, iż bronić będą narodowości i kościoła, jeżeli nie

stworzymy sobie fortu detaché w głowie kościoła.“

Kohorty zdumione genjalnością swego naczelnika, który wynalazł rzeczy tak nowe jak narodowość i kościół, zachwycone nadzieją wygodnéj kryjówki w głowie kościoła, wybuchły po raz setny frenetycznemi oklaski.

Po uciszeniu wrzawy ozwał się głos Bayarda inteligencji, wykazujący, iż śmiesznością jest wynajdywać proch po raz drugi i sprzedawać go pompatycznie za nowy wynalazek. Ozwały się nowe brawa i okrzyki tłumu, który nie potrafił nawet zrozumieć danych mu poufnie informacji.

Skonfundowana niepojętnością swoich uczni „jasność“ rezolucję swoją podaje do protokułu i zjednywa sobie nową serję oklasków. Budzi się uśpione dotąd „Żal się Boże“ i pyta: „Co to takiego? co to za brzęk kufli? czy wyrzucają kogo?“ „Ależ nie — odpowiada ktoś z jego przyjaciół politycznych w Gambrinusie — jesteśmy na zebraniu wyborców a w téj chwili zapisują do protokułu rezolucję, iż posłowie bronić mają praw narodowości i kościoła zgodnie z jego głową.“ „Wstrzymajcie się Panowie — woła „Żal się Boże“ — zapomnieliście o Panu, którego chléb jem — wnoszę poprawkę i proszę pisać: posłowie bronić będą praw narodowości i kościoła zgodnie z jego głową i zgodnie z jéj reprezentantem, księdzem Arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim.“

Podniosły się teraz już nie brawa i krzyki ale wycie tłumu, o którym przez usta Coriolana powiedział Shakespeare, iż jest wielogłową głupotą.

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Wiemy już, że ulica Przymiejska leżała dosyć blisko domu pana Maurycego Grzmockiego; biorący jednak wszystko na rozum Wincenty w przezorności swojéj pamiętał o tém, że gdyby obłąkany spostrzegł, że go wiozą do domu warjatów, gotówby wpaść w furję i wściekłość; nietylko więc pozasłaniał portjery, ale dał woźnicy instrukcję, żeby objechał miastem znaczny kawał drogi i przybywszy z przeciwnéj strony do mieszkania doktora Putziga od razu wjechał w bramę.

Przejażdżka zatém była dość długa a podczas niéj Wincenty starał się utrzymywać w dobrém usposobieniu pana Kwiryna, prawiąc mu najbezmyślniejsze brednie, jakie mu po kolei przychodziły do głowy. Utrzymywał, że płyną okrętem, że czuje morską chorobę, bo mu się głowa pomieścić nie może w kapeluszu, zapewniał go z całą powagą, że jak przybędą do Ameryki, będą musieli mówić od razu po amerykańsku, bo inaczéj niktby ich nie zrozumiał, i chodzić nogami do góry, bo u antypodów taki zwyczaj, a jak się kto do niego nie stosuje, zaraz mu obcinają wąsy i robią z nich szczoteczkę do zębów, — słowem plótł tysiące banialuk, których najkompletniejszy warjat wstydzić się nie miałby potrzeby.

Gdy kareta stanęła na miejscu, Wincenty rzekł do pana Kwiryna:

— Wiesz pan, gdzie jesteśmy?

— Nie wiem, panie... wszelako...

— No to ja panu powiem... jesteśmy w samym środku Ameryki na górze Synaj... ja mam się tu zobaczyć z Panem Bogiem, żeby mi dał przykazania, a pan tymczasem będziesz sobie czcił złotego cielca jak żydzi na pustyni...

To powiedziawszy, biorący wszystko na rozum pan Wincenty, w którym poznajemy kamerdynera daleko więcéj oczytanego od pospolitych kamerdynerów, wyskoczył szybko z powozu i zatrzasnął drzwiczki za sobą.

— Otóż co nowego! — pomyślał pan Kwiryn, — warjat wydobył się na wolność, a ja mam tu siedzieć jak zaklęty?... Wszelako nic mi przecież nie broni wysiąść i pójść sobie... Dosyć już mam téj komedji!...

Tak myśląc chciał otworzyć drzwiczki, ale te uchyliły się tylko i ukazała się w nich twarz barczystego draba w hrabskiéj liberji, który z najkomiczniejszą w świecie powagą pogroził mu na nosie i napowrót drzwiczki zatrzasnął.

Pan Kwiryn był, jak wiemy, człowiekiem bardzo wesołego z natury usposobienia. Niespodziewany ten widok pobudził go do tak gwałtownego śmiechu, że przez chwil kilka nie mógł przyjść do siebie.

— Otóż awantura z Tysiąca nocy, — myślał, zanosząc się, -- dostałem się między samych warjatów... jestem w królestwie obłąkania, gdzie klepek na głowy dla mieszkańców nie wystarcza, więc ciekawym, zkąd ich biorą na beczki.

Uspokoiwszy się nieco uchylił drugich drzwiczek i zobaczył taki sam widok.

— Nie bój się, capie, — rzekł śmiejąc się do grożącego mu na nosie lokaja, — nie myślę wysiadać, tylko mi powiedz, czy mam tutaj czekać, dopóki ten Mojżesz z góry Synaj nie wróci?...

— Tak jest, proszę jaśnie pana, — odpowiedział człowiek ubrany w liberję znakomitego domu Grzmockich.

Tytuł „jaśnie pana“, jakim go obdarzono, wydał się Zakuckiemu najszaleńszém z szaleństw, jakich od półgodziny nieustannym był świadkiem.

— Oni mnie chyba biorą za kogo innego, — myślał trzęsąc się ze śmiechu, — ciekawe będą ich miny, jak się spostrzegą, kim jestem. W każdym razie to, co mi się przytrafia, warto opisać i do gazet podać...

Tymczasem Wincenty odbywał konferencję z doktorem Putzigiem. Opowiedział, że pan hrabia Grzmocki, pani hrabina z domu Grzmocka i młody pan Grzmocki, małżonek baronówny, powierzają pieczy szanownego Eskulapa pensjonarza, któremu przypadkiem dostały się do głowy pewne młode zwierzątka, bardzo niewinne, a mimo to, gdy dorosną, nielitościwie prześladowane przez myśliwych. Dodał, że za pacjenta płacić będzie jego familja, ile sobie pan konsyljarz polikwiduje, że ta familja jest bardzo znakomita i bogata i że życzeniem jéj jest, aby pensjonarz był traktowanym z wszelkiemi względami jego wysokiemu urodzeniu odpowiedniemi, co nie przyjdzie trudno, bo chociaż nieszczęśliwy jest furjatem, jednak jest bardzo łatwowierny i bez trudności da sobą kierować, szczególniéj gdy mu mówić o odwrotnéj stronie i o tabace a potakiwać wszystkiemu, co powie.

Doktor Putzig znał świetne majątkowe położenie i wysokie koligacje pana Maurycego Grzmockiego, to zatém, co mu powiedział Wincenty, wystarczało mu najzupełniéj, zalecił tylko, żeby tegoż dnia albo którego z dni następnych doręczono mu papiery chorego, umówiono się z nim o płacę oraz skreślono mu przebieg choroby i czém dotychczas pacjent był leczony.

Gdy Wincenty zapewnił, że to wszystko zrobi familja pensjonarza, doktor pospieszył sam do bramy, aby zabrać swego pacjenta i otworzył drzwiczki karety mówiąc łamanym nieco językiem:

— Witam, witam pana dobrodzieja w moim domu... proszę na górę... ja tam panu dobrodziejowi będzie wszystko opowiedzieć.

Doktor Putzig wyglądał na bardzo poważnego człowieka.

— No, nareszcie spotykam się z kimś rozumnym, który mi to wszystko wytłomaczy i powie, gdzie i po co tu jestem, — pomyślał pan Kwiryn i poszedł za doktorem na górę.

Wincenty tymczasem wsiadł do karety i odjechał.

Wprowadziwszy Zakuckiego do niewielkiego pokoiku na drugiém piętrze, doktor Putzig poprosił go siedzieć i zagadnął:

— Pan dobrodziéj lubi tabakę?...

W skutek katastrofy z tabakierką pan Kwiryn a raczéj jego nos był pozbawionym od godziny blisko ulubionego swojego przysmaku, odpowiedział zatém:

— Przepadam za nią.

Był pewnym, że nieznajomy Niemiec natychmiast wyciągnie do niego tabakierkę, doznał jednakże nienajprzyjemniejszego zawodu.

— To bardzo ładnie, proszę pana, — odpowiedział doktor, — i ja także bardzo lubić tego kordjała... ja będzie z panem dobrodziejem zawsze rozmawiać o tabace.

Pan Kwiryn wytrzeszczył oczy.

— Rozmawiać o tabace?... — rzekł do siebie, — a to co?... czyżby i on?... eh! nie... przysłyszało mi się chyba.

— Tak, tak, proszę pana, — prawił doktor, — s o, so... jak mnie pan pokaże swoja odwrotna strona, to ja panu zaraz będzie powiedzieć, co jest tabaka in concreto et in abstracto.

Zakucki przeląkł się na prawdę.

— Bzik, jak Boga kocham, bzik! — pomyślał, — wszelako... zaszło tu jakieś fatalne nieporozumienie... trzeba to wyjaśnić...

I powstawszy rzekł:

— Przepraszam pana... ale nie wiem, z kim mam przyjemność?...

— Tak, tak, pan dobrodziéj będzie mieć przyjemność mówić ze mną o tabaka...

— Ależ ja pytam, kto pan jesteś?

— Kto ja jestem?... ja się nazywam Ihr gehorsamer Diener... ja jestem eigentlich, co pan dobrodziéj chce, pan dobrodziéj będzie powiedzieć ksiądz, to ksiądz!...

Tego już dla Zakuckiego było za wiele.

— Co u djabła, — zawołał wpadając w pasję, — albo pan kpisz ze mnie, alboś także warjat jak tamci!

— Sie haben Recht, — zawołał doktor Putzig, pamiętający o instrukcji Wincentego, że nowemu pensjonarzowi w niczém się sprzeciwiać nie trzeba, żeby go we wściekłość nie wprowadzać, — Sie haben Recht, gnädiger Herr, ja jestem warjat, ja panu zaraz będzie pokazać, że ja warjat.

To powiedziawszy zbliżył się do pana Kwiryna z wielką gracją, podał mu rękę, poprowadził do sąsiedniego pokoju, sam stanął na progu, wydobył z kieszonki od kamizelki piórko od zębów i rzekł:

— To jest klucz... nicht wahr?... niech pan dobrodziéj będzie mnie tu zamknąć na ten klucz, bo ja warjat, ein Rasender! man soll mich einsperren, wissen Sie...

To powiedziawszy zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz rzeczywisty znajdujący się w zamku i powrócił na dół do żony opowiadać jéj o charakterze warjacji nowego pensjonarza, należącego do bardzo znakomitéj rodziny.

Zakucki w pierwszéj chwili nie pojmował jeszcze, co to znaczy, dopiéro gdy zobaczył, że w izbie, w któréj się znajdował, nie ma drugich drzwi, że okna są zakratowane, że drzwi prowadzące do pierwszego pokoju są naprawdę zamknięte i że w nich znajduje się okienko ze śladami sosów, świadczącemi najwyraźniéj, że tamtędy podawano już potrawy poprzednim tego pokoju lokatorom, przekonał się, że przez dziwną jakąś pomyłkę na serjo za warjata go wzięto i zapakowano pod klucz.

Niepodobna powiedzieć, żeby był bardzo zadowolony z tego odkrycia, ale do rozpaczy i przerażenia nie miał znów wielkiego powodu.

— Rzecz prosta, że ta mistyfikacja długo trwać nie może, — pocieszał się, — spostrzegą się, że głupstwo zrobili, i puszczą mnie przeprosiwszy. Wątpię bardzo, żeby pan Grzmocki, człowiek słynący z uczciwości, chciał się nademną mścić takim kryminalnym sposobem za niewielkiego guza, którego mu napędziłem mimowolnie. Nie... to jest oczywiste niepodobieństwo. Oprócz niego któżby mógł mieć interes więzić mnie tutaj?... Chybaby mi umarł jaki stryjaszek w Ameryce i krewni dowiedziawszy się, że na mnie spada sukcesja, chcieliby mnie takim sposobem od niéj odsądzić. No, ale do tego potrzeba najprzód mieć stryjaszka w Ameryce a powtóre mieć jakich krewnych, a ja, o ile mi wiadomo, jestem sam jak palec na świecie...

Była w téj samotności niejaka pociecha dla pana Kwiryna, ale była i groźba. Ponieważ nie miał nikogo bliskiego, więc nikt nie miał interesu pozbawiać go wolności, kiedy jednakże już téj wolności został pozbawionym, mógł znów być pewnym, że się nikt o jego uwolnienie starać nie będzie, właśnie dla tego, że nikogo bliskiego nie miał. Jedni Żaliccy możeby się troszczyli, gdzie im się podział, ale jakim sposobem mogliby go odszukać, mając sami tysiączne kłopoty a nie mając żadnego śladu? Nie opowiadał im się wcale, że idzie do pana Grzmockiego odnieść mu czapkę, nie wiedzieli nawet, co był za jeden ów nieznajomy, którego w ich domu spotkała taka przykra przygoda.

Wszystko to powoli przychodziło na myśl panu Kwirynowi i zaczęło go niepokoić.

— Licho wié, — mówił do siebie, — jak daleko idzie ta omyłka. Nuż mnie tu umieszczono zapłaciwszy za miesiąc albo dwa... niewola moja może potrwać za długo... Wszelako prawdopodobnie musi tu być jakiś doktor... najpewniéj ten Niemiec, z którym gadałem... trzeba mu będzie jakoś wytłomaczyć, że ja nie jestem obłąkanym.

Uzbroił się w całą powagę, spokój i cierpliwość, na jaką tylko mógł się zdobyć, wiedząc, że nie tak łatwo podejrzanemu o warjację trafić do czyjegoś przekonania i, korzystając z pierwszych odwiedzin doktora Putziga, jął mu przekładać, że ma zdrowe zmysły.

Nie taka łatwa była to sprawa. Lekarz, cokolwiek usłyszał, brał za obłąkane fantazje i trzeba było niemałéj mocy nad sobą, żeby nie wpaść w pasję, która byłaby go jeszcze mocniéj utwierdziła w tém przekonaniu.

Zakucki zaczął niekoniecznie zręcznie. Usiłował wytłomaczyć doktorowi, jakim sposobem zbieg okoliczności sprowadził na niego podejrzenie o warjację i spowodował przywiezienie go do maison de santé doktora Putziga. Sam tego dokładnie nie rozumiał, rzecz

więc jasna, że nie mógł wyłożyć doktorowi w sposób zadawalniający.

Niemiec słuchał i kiwał głową. Dosłuchał opowiadania i wydało mu się nieprawdopodobném. Zaczął się dopytywać o niektóre okoliczności.

— Proszę pana, — rzekł, — niech mi pan będzie powiedzieć, jak dawno pan był znać pan hrabia Grzmocki?...

— Od niedawna.

— Jak się pan był z nim poznać?...

— Przyszedłem do niego...

— Po co?...

— Wiedziałem, że jest człowiekiem, który pragnie oddawać przysługi cierpiącéj ludzkości a którego tylko łudzą pochlebcy i wyzyskują niegodni spekulanci... chciałem mu pokazać, jak wygląda rzeczywiście ta prawdziwa nędza, któréj potrzeba nieść pomoc...

Doktor Putzig przerwał mu gestem.

— Genug, genug, mein Herr.

— Przekonałeś się pan, że ja nie jestem warjat?...

— Es versteht sich, es versteht sich, gnädiger Herr.

— A więc mnie pan wypuścisz?...

— Jakże ja będzie pana wypuścić, kiedy ja się był przekonać, dass Sie kein Narr und kein Rasender sind? Ja nie mogłem się pozbawić taka miła Gesellschaft jak pańska... jakby pan był Tollhaüsler, to jaby pana zaraz byłem wypuścić.

To powiedziawszy zamknął okienko we drzwiach, przez które rozmawiał z panem Kwirynem, i odszedł zostawiając go samego. Myśl pokazywania bogaczowi, jak wygląda prawdziwa nędza, wydała mu się taką warjacką, że już nie potrzebował lepszego dowodu obłąkania swego pacjenta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zadania filozofji w naszych czasach

napisał

Dr. **Józef Descours de Tournoy.**

(Dalszy ciąg.)

Reforma ta filozoficzna, zaczęta przez Bruna i Galileusza we Włoszech, przez Descartes'a we Francji i Bacona w Anglji, miała ten bezpośredni skutek, że nauki pozytywne zaczęły się odłączać od filozofji. Naprzód astronomja, fizyka i nauki przyrodzone, następnie zaś i nauki historyczne.

Podobne znaczenie jak Galileusz w naukach przyrodzonych, ma w naukach historycznych rodak Bruna Neapolitańczyk Jan Chrzciciel Vico. W ostatnich czasach dał go poznać pozaalpejskiemu światu francuzki historyk Michelet.

W średnich wiekach historja właściwie nie istniała jako nauka a przez to rozwijała się niezależnie od wszelkiego naukowego życia. Dla tego też te same wieki średnie, które w świecie przyrody szukały tylko przyczyn celowych, przeciwnie w historji to jest tam, gdzieby ich szukać można było, szukały tylko przyczyn skutecznych. Chociaż Rzeczpospolita florencka w Machiavellim, Guicciardinim i Nardim miała historyków, którzy ani starożytnym ani nowoczesnym w niczém nie ustępują, był Vico pierwszym, który zaczął naukowo badać znaczenie historji i w dziele swém głównem „La scienza nuova" stworzył system porównawczy a wykazawszy jak go należy stósować w dziejach, prawie, językoznawstwie, musi być uważanym tak samo za pierwszego naukowego historyka jak i za założyciela szkoły historycznéj w prawie i metody porównawczéj w językoznawstwie.

Po oderwaniu się nauk pozytywnych od filozofji pole jéj się ograniczyło, ale téż za to i zdeterminowało się bliżéj jéj właściwe zadanie. Z nieokreślonéj dążności do wiedzy stała się nauką z oznaczonym przedmiotem. Tym przedmiotem filozofji jest rozum i jego prawa.

Ze wszystkich reformatorów filozofji zapewne Descartes najwięcéj się przyczynił do nadania jéj tego kierunku, gdyż od niego dopiéro zaczęły się badania nad zjawiskiem, w którém się objawia działanie rozumu, to jest nad poznaniem.

Człowiek poznając świat, nie troszczył się wcale, w jaki go sposób poznaje, tylko chciał rozszerzyć swoje o nim wiadomości i Descartes dopiéro zwrócił uwagę na kwestję sposobu, gdy zjawisko samopoznania uznał za tak ważne, że w niém nawet szukał dowodu istnienia i od niego téż datuje nadanie ważności téj kwestji. Wszyscy filozofowie, którzy po nim bezpośrednio nastąpili, głównie się tą kwestją zajęli i charakteryzują się od sposobu jéj rozstrzygnięcia.

Tak na przykład we Francji Malebranche zwątpił o możliwości poznania sposobem naturalnym i przypisał go nieustającemu cudowi i tym sposobem popadł w mistycyzm, który z jednéj strony zbliża go do jedności substancji czyli panteizmu Spinozy, z drugiéj do sceptycyzmu Huata, wyżéj przez nas przytoczonego biskupa z Avranche. Że zaś według Descartes'a poznanie ma służyć za dowód istnienia, sceptycyzm i mistycyzm Huat'a i Malebranche'a, odnoszący się tylko do poznania, u filozofa angielskiego Berkeley'a odnosi się także i do istnienia. Jak u Malebranche'a poznajemy w Bogu, tak u Berkeley'a jesteśmy w Bogu a raczéj, u pierwszego właściwie nie poznajemy, tylko Bóg jak indyjska Maja przedstawia nam według swéj woli jakąś fantasmagorją, a u Berkeley'a jesteśmy jakby marzeniami tego Boga.

Przeciwko tym oryginalnym i fantastycznym poglądom Hume postawił swą ostrą krytykę a Locke swój system sensualizmu. Tylko téj potrzebie reakcji przeciw marzycielstwu idei wrodzonych Descartes'a i Malebranche'a przypisać należy, że Locke razić może czasem kogoś, obdarzonego wykwintniejszym smakiem, płaskością swoich poglądów, ale chociaż zapewne on nadał filozofji angielskiéj ten trywialny kierunek, którego dotąd pozbyć nie może, musi być uważany za poprzednika Kanta z powodu swojéj krytyki zmysłów. Przypisując mu tę zasługę, stósujemy się tylko do opinji większości, która nie wié, że właściwie zasługę tę ma Galileusz. Że zaś krytyka ta zmysłów Galileusza bardzo mało komu jest znaną a przez niego wyrażoną w sposób piękniejszy co do formy i bardziéj naukowy co do treści aniżeli u Locka, przytaczamy ją własnemi słowami Galileusza*).

Kiedy poznaję materję lub ciało, jestem zmuszony wyobrazić ją sobie koniecznie określoną i ukształtowaną

*) Il Saggiatore Cap. XXIII. Rozdział ten mówi o kometach i rzecz przytoczona przez nas jest tylko ustępem.

w pewien sposób, wyobrażam sobie przytém, że forma jéj w stósunku do innych jest wielka lub mała, że się znajduje w pewném oznaczoném miejscu i czasie, że się rusza lub w miejscu stoi, że jest jedna, nieliczna lub mnoga i żadném wysileniem wyobraźni nie mogę oddzielić jéj od tych warunków; lecz umysł nie czuje żadnéj konieczności, by wyobrażać ją sobie białą lub czerwoną, gorzką lub słodką, dźwięczną lub bez dźwięku, z przyjemnym lub nieprzyjemnym zapachem, owszém, żeby nie pomoc zmysłów, nigdyby się zapewne nie przyszło do tych pojęć ani przez rozumowanie ani przez wyobraźnią. Dla tego téż zastanawiając się nad tém myślę, że smaki, zapachy, kolory ze względu na przedmiot, w którym je mniemamy widzieć, są tylko czczemi imionami i że się znajdują tylko w ciele obdarzoném zmysłami, tym sposobem, jeżeli oddzielę od nich jestestwo zmysłowe, zniszczę także i te wszystkie przymioty, tym sposobem przymioty muszą być zupełnie różne od pierwszych.

Przypuszczam, że się to da objaśnić przykładem. Dotykam ręką naprzód posągu marmurowego, następnie zaś żyjącego człowieka. Co do akcji ręki, bez względu na nią samą, ta się nie zmieni: będzie taką samą na jednym przedmiocie i na drugim, będzie ruchem i należeć do pierwotnych przymiotów; lecz ciało żywe czuć będzie rozmaite wrażenia stósownie do miejsca, gdzie będzie dotykane i, jeżeli zostanie dotkniętém pod podeszwą lub pod pachą, oprócz dotknięcia czuje jeszcze inne wrażenie, któremu daliśmy imię łechtanie, które to wrażenie jest nasze własne i bynajmniéj nie w ręce się znajduje. I zdaje mi się, że omyliłby się każdy, ktoby chciał utrzymywać, że ręka oprócz ruchu miała jeszcze jakąś własność swoją szczególniejszą łechtania, jak gdyby ta łechtliwość w niéj saméj być miała. Podobnie jeżeli odrobiną papieru lub pióra dotykać będziemy jakiéjkolwiek części ciała, odrobina ta papieru lub pióra wszędzie będzie odbywać ruch ten sam, ale jeżeli dotknie się czoła pomiędzy oczami, nozdrz lub nosa, budzi nieznośne świerzbienie. To świerzbienie jest naturalnie w nas a nie w piórze lub papierze i, gdy nie będzie organizmu żyjącego, zniknie także i świerzbienie. Otóż podobne a nie inne znaczenie przypisuję temu, co sobie wyobrażamy jako istniejące w ciałach znaki, kolory, dźwięki lub smaki.

Badanie zasług Galileusza jako filozofa nie jest obecnie naszém zadaniem, dla tego téż te jego pojęcia o działaniu zmysłów daliśmy pod Lockiem, gdyż przygotowują umysł do odkryć Kanta w filozofji.

Należy sobie przedewszystkiém zdać sprawę, na czém zależy właściwie poznanie.

Poznanie jest to działanie naszego umysłu, przez które zdajemy sobie sprawę o świecie zewnętrznym, i tym sposobem z umysłu właściwych żywiołów odtwarza po raz drugi w nas samych tenże świat zewnętrzny. Takie byłoby najwłaściwsze określenie poznania i dla tego naiwnemu, dogmatycznemu realizmowi wydaje się, jak gdyby rzeczywiście przywłaszczał swemu umysłowi świat zewnętrzny i tym sposobem, jak gdyby zrobiwszy podróż na około świata, nosił rzeczywiście w głowie wszystkie pięć jego części.

Wyraża to na przykład definicja prawdy Śgo Tomasza z Aquinu: ratio veritatis est adaequatio rei et intellectus, jak gdyby można było porównywać dwie tak niewspółmierne ilości. Ale bo też świętemu Tomaszowi jak każdemu naiwnemu dogmatycznemu realiście wydaje się, że umysł ma jakieś szufladki, w które rzeczywiście kładzie przedmioty i, jeżeli przedmioty pasują do szufladki, to wtedy wydaje prawdę; dla tego też choć już mistycyzm Malebranche'a i sceptycyzm Huma i Berkeley'a przygotował umysły do przyjęcia odkryć Kanta, krytyka zmysłowa Galileusza (Locke'a) sama podminowałaby dostatecznie dogmatyzm.

Jeżeli czerwone i białe, słodkie i gorzkie, ciche i głośne istnieje tylko jako łechtanie naszych nerwów, to właściwie znamy tylko te wrażenia naszych nerwów. Taki musi być konieczny rezultat rozumowań Galileusza i u Galileusza (chociaż tego nigdzie otwarcie nie wyraził) z innych poglądów możnaby wnosić, żeby nie był temu rezultatowi przeciwny, ale oryginalném jest bardzo, że ten sam Locke, który upowszechnił krytykę zmysłów Galileusza a tém samém nie przyznał zmysłom bezwzględnie przedmiotowego poznania, nie przyznał także żadnego prawie działania rozumowi.

Gdyby rzeczywiście całe działanie rozumu było tylko ograniczone na bierną reflexję, toby nigdy nie było sposobu uporządkowania zmysłowych wrażeń. Nie moglibyśmy właściwie znać przedmiotów ale bylibyśmy pogrążeni w chaosie zapachów, smaków, tonów i kolorów. Z chaotycznych tych wyobrażeń wybawiło filozofję Fiat lux Kanta.

On to pierwszy, oznaczywszy udział i działanie rozumu w poznaniu, dał filozofji podstawę, z któréj zejść nie może, jeżeli nie chce wyrzec się rozumu i praw jego.

Rezultata jego są tak znanemi, że zbyteczném byłoby rozszerzać się nad niemi w pierwotnéj ich formie, zwłaszcza iż ta była tak oderwaną, że nie każdego przekonaćby mogła. Ale w ostatnich czasach uprościł je znacznie znany naturalista Helmholtz. On to w mowie powiedzianéj w Królewcu na uroczystości odkrycia pomnika Emanuela Kanta wyrzucił z obojętnością prawdziwego miljonera kilka myśli, z których do następnych trzeba przyjść rezultatów:

Główne elementarne działanie rozumu jest to zdanie: nic bez przyczyny i z tego dopiéro dedukuje sobie właściwie nietylko już wiadomości o świecie zewnętrznym, ale nawet własne swoje formy.

Już Schopenhauer był wykazał, jak zdanie: nic bez przyczyny z wrażeń dedukuje sobie cały materjał poznania, przypisując każde wrażenie odpowiedniemu zjawisku; ale Helmholtz pierwszy zwrócił uwagę, że już pojęcia czasu i miejsca są dedukcjami zdania: nic bez przyczyny.

Czas jest dedukcją zdania: nic bez przyczyny zastósowaną do następstwa; przestrzeń podobnąż dedukcją zastósowaną do współczesności.

Poznanie każde zawiera w sobie koniecznie dwa warunki to jest umysł poznający czyli subjekt i rzecz poznawaną czyli przedmiot, a zatém charakterem każdego poznania musi być to wyróżnienie a przeto czas i przestrzeń jako konieczne warunki poznania są warunkami subjektu poznającego i objektu poznawanego jako objekt i dla tego koniecznie muszą wydawać się objektywnemi; na tém też zależy ich empiryczny realizm.

Idealność czasu nie sprzeciwia się bardzo pospolitemu realizmowi, gdyż realnym przedstawia się nam jako punkt matematyczny bez rozciągłości, jako chwila obecna, jako granica pomiędzy przeszłością która była ale już nie jest, i przyszłością, która będzie ale nie jest jeszcze. Rozciągłym mamy go tylko w pamięci lub fantazji jako przeszłość i w saméj tylko fantazji jako przyszłość i dla tego, żeby nadać czasowi jakąś realność, scholastyka określała go jako nunc stans, podobnie jak matematycy określają linją jako przedłużenie punktu.

Z empiryczną realnością przestrzeni umysł nasz zrosł się bardziéj, gdyż w przestrzeni poznajemy przedmioty; ale właściwie przestrzeń jest to tylko możliwość określenia ilości i rozmiarów i te przez to muszą mieć znaczenie względne, a pojęcie bezwzględnéj wielkości lub bezwzględnéj małości uderzy swoją niedorzecznością każdego nawet nie zajmującego się matematyką.

Co także jest przyczyną nieporozumienia, to ta oko-

liczność, że wydaje się na pozór jakoby pojęcie negatywne odpowiadające czasowi i przestrzeni miało wydawać nicość, ale tak nie jest, gdyż naprzód właściwie pojęcia negatywnego jako przeciwstawienia czasu i przestrzeni być nie może, gdyż te pojęcia są warunkami poznania a zatém i pojęcia; ale może być tylko pojęcie negatywne ograniczające czas i miejsce, a tych musi być dwa: z jednéj strony punkt matematyczny i chwila, z drugiéj strony nieskończoność i wielkość, a co do ilości granice te wyrażają się jako 0 i ∞.

Matematyka, żeby dać nam wyobrażenie o rozmiarach, za punkt wyjścia używa pojęcia bezrozmiarowości punktu. Tym sposobem punkt wyraża subjektywną naszą hipotezę a nieskończoność bezwzględną realność, do poznania któréj dojść nie możemy, gdyż przewyższać musi każdą ilość oznaczoną.

Rozumowanie to nasze poświęcamy przedewszystkiém matematykom, a tak zwanych filozofów upraszamy, ażeby wątpliwości sobie z pomocą pierwszych objaśnili, gdyż chociaż dotyka ona matematyki, ale ma bezpośrednie skutki filozoficzne i musimy je nawet przeprowadzić daléj. To co następuje zawdzięczamy głównie rozmyślaniu nad jednym djalogiem Galileusza, który dla tego przytaczamy*):

Salviati: Zdaje mi się, że pomiędzy ilościami skończonemi i nieskończonemi są jeszcze trzecie, to jest takie, które odpowiadają każdéj oznaczonéj liczbie, tym sposobem na pytanie, czy mogę rzeczy rozciągłe podzielić na nieskończoną ilość części, czy tylko na skończoną, odpowiem, że ani na jednę ani na drugą, ale na taką, która odpowiadać może każdéj liczbie, tym sposobem nie będzie potrzeba ograniczać ich żadną oznaczoną liczbą, gdyż wtedy nie mogłyby już być podzielne przez liczbę większą, ale także nie potrzeba, żeby miały być nieskończone, gdyż żadna liczba, którą im dać możemy, nie jest nieskończoną. Tym sposobem możemy daną linją podzielić na 100, na tysiąc części, ale nigdy na nieskończoną ilość. Zatém pozwalam panom filozofom dzielić linję na tyle części ile zechcą, przypuszczam i ja, że zawiera te części in actu albo in potentia według ich dobréj woli i upodobania i dodaję następnie, że w jednéj linji długiéj na 10 prętów jest 10 linji długich każda pręt jeden, lub czterdzieści linji łokciowych, lub 80 pół-łokciowych, a także nieskończoną ilość punktów, nazywajcie je potém in actu albo in potentia według upodobania, już ja się w to, panie Symplicjuszu, wcale nie bawię i zostawiam waszemu smakowi i dobréj woli.

Simplicio: Muszę przyznać, że bardzo mądrze mówicie, ale obawiam się, czy to podobieństwo punktów do części jest zupełnie dokładném i zdaje mi się, że nie będzie wam równie łatwo podzielić danéj linji na nieskończoną ilość punktów, jak owym filozofom na 10 prętów lub czterdzieści łokci, a nawet uważam za niepodobne do urzeczywistnienia wykonanie podobnego podziału, a tym sposobem ta potentia będzie tego rodzaju, że nie może nigdy nastąpić in actu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Jest to ustęp z Djalogów o Naukach nowych (Dialoghi Delle Scienze Nuove). Wchodzą do niego dwie osoby rzeczywiste: Salviati, Florentczyk, uczeń Galileusza i następnie ze słynnéj rodziny książąt Salviati, która się obecnie skojarzyła z Borghesami, tak że każdy młodszy syn księcia Borghese nosił tytuł księcia Salviati, Wenecjanin Sagredo, uczeń Galileusza, gdy był profesorem w Padwie i trzecia osoba nosi imię przybrane Simplicio i przedstawia scholastyka nie bez wykształcenia, ale pamięciowego i przywykłego do przysięgania na słowa mistrza Arystotelesa.

Wycieczka do Morskiego Oka
przez Zawrat.

Napisał
Walery Eljasz.

(Ciąg dalszy).

O godzinie 10 puściliśmy się daléj brzegiem wschodnim Czarnego Stawu, koło krzewów kosodrzewiny, przypatrując się po drodze wodom jeziora. Widać było zagłębianie się dna, bo im mniejsza przestrzeń wody dzieliła dno od powierzchni, barwa wody jaśniała, ukazując przez swoje przezrocze lada głaz, a przeciwnie na strasznych głębiach barwa wody aż do czarności ciemniała. Kamienie rzucane, uważając po bańkach powietrza wydobywającego się z wody, leciały długo, nim na spodzie osiadały. Po przybyciu do stóp turni po nad stawem przez toczący się potoczek od Zmarzłego czekała nas pierwsza trudniejsza przeprawa przy wydostaniu się po tak zwanych dwóch olbrzymich Piętrach, przez złomy granitu, po litéj skale w coraz dzikszém otoczeniu. Urozmaicał nam drogę Wala swojemi opowiadaniami przygód z różnymi podróżnymi; posiada on bowiem niewyczerpane źródło tego rodzaju wiadomości i dar skreślania ich z dotykalną mimiką. Ma to swoją korzyść dla gości, zwłaszcza w miejscach trudniejszych, bo przéz taką gawędę odrywa się uwaga od upatrywania niebezpieczeństw, czasem nawet tam, gdzie ich zupełnie nie ma.

Im daléj postępowaliśmy, okolica dzikszą się stawała. Od wschodu kotlinę Granatów zalegają ogromne piargi t. j. usypiska żwirowe, tworzące się z kruszenia i obrywania skał, a zamiast jakiéjkolwiek roślinności zalegają tu i owdzie płaty brudnego, wiecznego śniegu. Od zachodu i południa piętrzą się przed nami skały z roztworem, gdzie mamy wejść po nad Zmarzły Staw. Od północy tylko ma gdzie oko pobujać ku dolinie Nowotarskiéj na Beskidy a pod stopami rozkłada się w całéj rozległości Czarny Staw, którego właściwy kształt ztąd dopiéro można zobaczyć.

Idąc ostrożnie tuż za przewodnikiem, jakoś tam się nie źle wyszło na wierzch, ale przy zboczeniu w lewo lub w prawo trwożyła przepaść wprawdzie nie wielka, mogąca jednak każdego pozbawić życia. Dla cierpiących na zawrót głowy już ten kawałek drogi jest niebezpiecznym. W godzinę po odejściu od Czarnego Stawu, spinając się czasem na czworakach, weszliśmy w roztwór koło płatu śniegu do dolinki Zmarzłéj, nazwanéj od stawu, który w lecie bywa jeszcze zamarznięty; tą razą długie deszcze uprzątnęły ze stawku Zmarzłego lód jak i z wielu miejc śnieg. Chociażby na najobojętniejszéj duszy musi wywrzeć wielkie wrażenie kotlina koło Zmarzłego, bo zaprawdę, wszystko tu tak dzikie, urwiste, gołe, odarte z roślinności i pozbawione życia, że grozą przejęty umysł szuka przedmiotu, coby go mógł rozweselić, natchnąć odwagą, chociaż nic na niego nie godzi. Człowiek tu tak maleńki, że ginie w gruzach granitowych,

odcięty od ludzi, potęgę swoją widzi upokorzoną, duch zaś rwie się gdzieś wyżéj, bo zaległe turnie na wszystkie strony świat zasłaniają, nieba nawet nie wiele widać, zdaje się, że stoimy na miejscu okropnego zniszczenia, strasznego spustoszenia, jakby nazajutrz po potopie.

Spojrzawszy od wstępu do téj dolinki, mamy przed sobą w całéj okazałości Zawrat. Jest to roztwór wązki pomiędzy dwoma wyniosłemi turniami zawratowemi, dokąd wiedzie droga spadzista po olbrzymiém usypisku. Od zachodu zamykają kotlinę turnie Zmarzłe, łączące Kościelec z Świnnicą, od wschodu po za turnią zawratową wznoszą się Czarne Ściany, daléj Granaty, między niemi jest dolinka zwana nad Zmarzłem (6,101'). Po za nami spód Granatu północnego zasłania skała, po któréjśmy się tu wdrapali. Poniżéj czerni się wśród zwalisk granitu Staw Zmarzły (5,670'), do którego spływa potoczek z dolinki pod Granatem.

Piękna pogoda, czysty błękit niebios wpływały mile na nas, odpychając wszelką obawę deszczu; ja rysowałem Zawrat a moje towarzystwo pod wrażeniem dzikiéj nad miarę okolicy rozglądało się we wszystkiém, co nas otaczało. Po niejakim czasie usłyszeliśmy głosy ludzkie, byli to wzmiankowani turyści napotkani przez nas na Boczaniu. Po pozdrowieniu się wzajemném podążyli w górę bez odpoczynku, gdy w téj chwili dał się słyszeć grzmot a w kilka minut począł deszcz padać grubemi kroplami. W tém przykrém położeniu Wala poradził nam schronić się pomiędzy złomy granitu; przyjęliśmy jego radę z radością i w lot ją wykonaliśmy, wyszukawszy sobie najdogodniejsze szczeliny. Każdy z nas zajął osobne stanowisko odporne przeciw deszczowi. Żywność ulokowałem w najpewniejszém miejscu, obok niéj sam się ułożyłem tak, żem zgarbiony, na pół stojąc na pół siedząc, wśród kilku głazów spoczywał zasłonięty od nawałnicy. Mój towarzysz niedaleko mnie znalazł sobie ukrycie, stojąc pod olbrzymim złomem, siostra zaś miała kącik najdogodniejszy w zwykłéj pozycji siedzącéj, a przewodnik nasz wsunął się do jakiéjś nory, z któréj mu tylko pięty wystawały.

Zaledwieśmy się zdążyli schronić, zawyła burza straszna, o jakiéj tylko będąc w górach można mieć pojęcie. Grom po gromie uderzał w skały, huk okropny rozlegał się w powietrzu, zdawało się, że się ziemia zawali, ulewny deszcz z trzaskiem rozbijał się w parę o twardą głazów powierzchnią, zewsząd szumiąc toczyły się strumienie, wodospady; niektóre z nich, gdy się chwilami rozjaśniało, widzieliśmy, jak biegnąc w przepaść nie doleciawszy spodu ginęły zamienione w parę. Czasami ustawała nawałnica, już zdawało się, że spokój zapanuje w naturze, gdy znowu nowe chmury nadciągały, pioruny biły i toż samo powtarzało się ciągle. Ja mając z pośród dwóch złomów roztwór zwrócony ku Zawratowi, śledziłem podróżnych, co nas minęli; chwilami dostrzegałem ich, jak się pięli po skałach, nie mając biedni nic innego do wyboru, bo już wyżéj nie napotyka się takich szczelin między głazami, jakie nam tu służyły za schronienie.

Przez półtory godziny srożyła się burza, tak długo nie mogły się ustatkować rozhukane żywioły; wśród tego często przychodziła mi myśl, czy pierwszy lepszy piorun nie uderzy w kamień chroniący mnie od deszczu i nie zdruzgoce mnie na miazgę! Z jednego względu cieszyłem się, że mi mimowoli zdarzyło się nabrać wyobrażenia o strasznéj burzy w górach i to w miejscu jakby naumyślnie ku temu wybraném, dzikiém i martwém; z drugiego znów względu moje położenie nie było wcale do pozazdroszczenia, gdyż dokuczała mi niemożliwość zmiany pozycji jednostajnéj a woda ściekająca z powierzchni głazów dostawała mi się za kołnierz, to znów do lewéj kieszeni, a przytém temperatura obniżona nagle ziębiła nieruchome ciało. Mimo to dobry humor nas nie odstępował a ciągła nadzieja końca obecnego losu dodawała otuchy.

Wreszcie ustał deszcz, grzmoty przeniosły się gdzieś w inną stronę Tatr, dolatywał nas tylko ich głuchy odgłos; wszystko uciszało się, nawet szmer ścieków malał a z obrotu chmur po 2 godzinnych obserwacjach wywróżyliśmy sobie pewną nadzieję pogody. Po wyjściu z tak zwanych przez górali kolib i obejrzeniu ich wzajemném trzeba było ruszać w drogę, lecz brakło nam przewodnika. Wołaliśmy go na wszystkie strony lecz napróżno; rozbiegliśmy się go szukać pośród złomów, gdy po niejakiéj chwili Władysław odnalazł go w inszéj niż przedtém szczelinie śpiącego wyśmienicie. Burza w Tatrach nie była mu nowością, przyzwyczaił się chodząc na kozice przetrzymywać prawdziwie smutne tarapaty, więc obojętną była dla niego ulewa z grzmotami. Przecież raz Wala z wyprawy na kozice wrócił ledwie po 11 dniach, opłakany przez rodzinę, bo zasypany śniegiem wydobyć się nie mógł i nacierpiał się głodu.

Błogosławiliśmy szorstką powierzchnię granitu, że po zmoczonych złomach lub wilgotnéj skale można było bez obawy postępować, gdy wapień mokry staje się niedostępnym i niebezpiecznym bardzo. Minąwszy źródło nadzwyczaj zimne + 1° 36 Rm. odpływające do Zmarzłego Stawu, szliśmy po litéj skale, po głazach wielkich, koło śniegów lewą stroną stokowiska, nim nas wprowadził przewodnik we właściwy Zawrat, gdzie turnie przeciwległe tworzą ową olbrzymią szczelinę, którędy trzeba się wydostawać na wierzch grzbietu. Ślady naszych poprzedników zupełnie zatarł ulewny deszcz, nie spotkaliśmy ich już nigdzie w drodze, aż wieczorem dopiéro w szałasie u Morskiego Oka.

Postępuje się daléj z mozołem po gruzach różnéj wielkości głazów granitowych, raz zbliżając się ku wschodniéj, drugi raz ku zachodniéj stronie, to znów samym środkiem roztworu, jak gdzie dogodniéj, aby się utrzymać na usuwającéj się z pod nóg powierzchni. Ściany wilgotne, gładkie, żadnéj ulgi nie udzielają, bo się ich uczepić nie można; wszystko polega na przezorném stąpaniu, aby się utrzymać w równowadze i nie upaść z osuwającym się kamieniem. Dla wytchnienia staje się co chwilę, umocowawszy się kijem lub czując pod stopami pewniejszą podstawę. Od Zmarzłego wyruszyliśmy ziębnięci, a tu już w pocie czoła przychodziło nam się drapać w górę z pomocą laski, to na czworakach; czasem usunięty z pod naszych nóg kamień potoczył się na dół rozbijając inne po drodze napotkane, nim gdzieś uwiązł. Jedynie to osuwanie się głazów jest przy przechodzeniu Zawratu wielkiém utrudzeniem, przytém ma się obawę ciągle, aby za sobą idącego towarzysza zrzuceniem kamienia nie uszkodzić. Ostatnią okoliczność można uważać za prawdziwe niebezpieczeństwo w téj drodze, co naturalnie przy roztropności i ostrożności podróżnych jest łatwém do uniknienia, bo zresztą wszystkie inne przeszkody są dla każdego do pokonania. Bojaźliwsi ludzie jak i nerwowi trwożyć się zwykli bardzo przy przechodzeniu Zawratu, bo zdarza się, że gdy stąpną na jeden kamień a ten się usuwa, stąpają na drugi, ale i z nim toż samo się dzieje, co jeszcze z kilkoma następnemi się powtarza, to więc wzbudza obawę, dobywają ostatnich sił, aby się wydostać na pewniejsze miejsce, w tém natężeniu silniéj stąpają, przez co coraz więcéj się porusza kamieni, rumot powstaje, nogi w kolanach drżą, krew uderza do głowy i w takim zdeorganizowanym stanie, przy braku tchu, z nadwerężeniem zdrowia drapią się bez wytchnienia na wierzch, gdzie wylęknieni, opadli na siłach padają na ziemię, wyrzekając się na zawsze Zawratu; potém zaś opowiadają z doświadczenia własnego o niesłychanych niebezpieczeństwach w drodze takiéj, którą drudzy przebywają śmiało bez obawy, bez wytężenia sił, dziwiąc

się potém opowieściom o podobnych niebezpieczeństwach jak powyższe. Jeźli Zawrat śniegiem zawalony, przejście przez niego prędsze po schodach w śniegu wykuwanych toporkami, ale niebezpieczne.

Idąc z dobrym przewodnikiem, jak nam się to przydarzyło z Walą, uniknęliśmy wszelkich kłopotów w tém miejscu. Szedł on naprzód, wyszukując najpewniejszéj podstawy, a gdzie było źle ostrzegał, podawał rękę i najzupełniéj uczył nas chodzenia po takich usypiskach. Wykazywał nam płonność obawy o spadnięcie, gdyż w razie stracenia równowagi przy osuwaniu się kamieni przyklęknięcie wybawia od upadku i daje czas do nabrania sił. Siostrze méj szło w téj przeprawie najlepiéj z nas, bo była najlżejsza, a Władysławowi najgorzéj z powodu największéj objętości ciała: pod jego bowiem stopami ruszały się takie złomy, które pod kim innym ani drgnęły, więc porządnie się napocił a kilka razy zatrwożył, nim osięgnął cel.

Doszliśmy do skały, co w poprzek roztworu jak próg się rozłożyła już blisko szczytu. Chcąc tę może 5 łokci wysokości mającą ścianę minąć, spinać się trzeba po wschodniéj jego stronie tuż koło boku turni, czepiając się rękami i nogami szczerbów w skale jak kot a pomagając sobie całém ciałem. Wala pomagał, co tylko mógł, po za progiem jeszcze kilkadziesiąt stóp takiéj saméj drogi jak poprzednia mieliśmy do przebycia, aż wreszcie o 2¼ godz. stanęliśmy na wierzchu Zawratu wśród pięknéj pogody.

A więc dla płci pięknéj początek dany, gdy moja siostra bez wielkiéj trudności weszła na Zawrat od Zmarzłego, zkąd wychód najprzykrzejszy. Podobno pani H. z Krakowa przebyła Zawrat, lecz idąc na niego od Pięciu Stawów, co bez porównania jest łatwiejszą rzeczą, gdyż bok południowy Zawratu niższy dużo od północnego i trawą porosły. Wala wykrzyknął zdrowie méj siostry, co pierwsza z kobiét tędy podążyła do Morskiego Oka, i rad był, że jemu ją przyszło wodzić, zawsze bowiem dla turystów droga przez Zawrat liczyć się będzie do trudniejszych przepraw po Tatrach.

Z trudem się wprawdzie wchodzi na Zawrat, ale chociażby przyszło dwa razy jeszcze więcéj mozołu użyć, wartoby było, bo widok z niego niezrównany, o tyle wrażliwszy od innych, że po kilkogodzinném spinaniu się od Czarnego Stawu ciągle pośród kotliny, zamkniętéj olbrzymiemi turniami, olśniewa zmysły nagle odsłonięty widok przepyszny, wspaniały. Stajemy tu jakby na progu do wnętrza Tatr. Do stóp naszych ściele się dolina Pięciu Stawów; w górnéj części stawów widać tylko dwa, Zadni, zwany także Zmarzłym, i część drugiego zwanego Czarnym. Powyżéj grzbiet okalający tę dolinę poczyna się na zachodzie od Świnnicy najprzód Walentkową, potém ciągnie się przez Kotelnicę, Gładkie, Przechybę a kończy się rozłożystemi Miedzianemi po nad Wielkim Stawem. Drugi grzbiet wychyla się na wprost nas Pośrednim Wierchem, który się wznosi aż do połączenia z Mięguszowskim Szczytem po nad Morskiém Okiem, ku wschodowi piętrzą się ostre szczyty Rysów, najwyższego w całych Tatrach Gierlachu (8,414′). Trzeci grzbiet stanowią bardzo rozległe turnie Grubego Wierchu kończące się ostrym szczytem, Basztą, dopiero po za tém wszystkiém od południa trochę ku zachodowi wznosi się imponująco Krywań, odznaczający się od sąsiadów oryginalnym swoim kształtem. Od niego bardziéj ku zachodowi między grupą wierchów Koprowéj i Wierchcichy gubi się oko w równiach Liptowa, świecą się wody Waagu a na ostatnim widnokręgu sinieje pasmo gór na Węgrzech, zwane Niżniemi Tatrami. Wschód zasłania nam turnia Zawratowa a zachód Świnnica, która ztąd tak się strasznie przepaścisto i urwisto przedstawia, iż trudno przypuścić, aby na jéj szczycie ludzka stopa stanąć zdołała. Widok z Zawratu wzbogaciła nam jeszcze burza srożąca się w dolinie Koprowéj koło Krywania; dolatywał do nas ciągły grzmot i w naszych oczach ten huragan alpejski przeszedł w turnie ku wschodowi. Oderwać się nie mogliśmy od obrazu, którego twórcą Bóg, więc téż ludzkie słowa go nie określą; ale w końcu trzeba się było puszczać daléj. Spełniliśmy starym naszym zwyczajem toast na cześć obecnéj chwili, przewodnik nasz nie mógł się dosyć nachwalić pieczeni husarskiéj, którą nam żona moja przysposobiła na drogę, a obejrzawszy się po za siebie w kotlinę Zmarzłego, miło się nam zrobiło, że drugiéj takiéj przeprawy nie mieliśmy odbywać w całéj już drodze do Morskiego Oka.

Gdyśmy się mieli spuszczać na dół do doliny Pięciu Stawów, Władysławowi zdawało się, że najdaléj za 5 minut staniemy w dolinie, tymczasem zeszło nam pół godziny, bośmy naraz nie widzieli całego zbocza góry lecz najbliższą krawędź, która zasłaniała dalszą. Zszedłszy z wielką ostrożnością po bardzo ślizkiéj trawie lub po rozrzuconych gdzieniegdzie kamieniach, przy pomocy kija przybyliśmy na jakieś zbiorowisko wody, obecnie deszczowéj, z którą się źródlana mięszała. Staw pierwszy z pięciu, zwany Zadnim lub Zmarzłym (11 morg. 1149 sąż. kwadr.), bo brzeg jego zawsze zalega lód i śnieg, obeszliśmy w oddaleniu, zdążając po wierzchu wielkich złomów granitowych koło turni północnéj strony téj doliny. Dla wielu osób chodzenie po zwaliskach kamieni jest uciążliwém, stąpają bowiem bojaźliwie aby nie wpaść w szczeliny, nie potłuc się albo nogi nie złamać; lecz nabywszy wprawy, śmiało skacząc i przezornie po wierzchołkach głazów, prędko się przebywa przestrzenie zawalone złomami różnéj wielkości, bo powierzchnia granitu szorstka daje dla nogi pewną podstawę.

Idąc za przewodnikiem, weszliśmy na skałę oddzielającą się od podnóża Koziego Wierchu; tu na téj drodze jedyne to miejsce, zkąd widać naraz wszystkie pięć stawów. Dotąd nam znowu sprzyjała pogoda, chociaż się coraz bardziéj zachmurzało od zachodu; wkrótce deszcz począł padać, spieszno więc schodziliśmy na dół, aby się znów gdzie schronić. Drugi staw, Czarny (22 morg. 1077 sąż. kwadr.) minęliśmy, z niego płynie potok do Wielkiego Stawu, nie łącząc się z odpływem Zadniego Stawu, który osobno się toczy wprost także do Wielkiego. Deszcz się wzmagał, Wala wskazał nam dwa nachylone olbrzymie złomy granitu; wbiegłem tam najprzód, siostra za mną, lecz Władysław dobiegając spostrzegł, że wierzch téj nowéj naszéj koliby tworzy ogromny kamień będący prawie na łasce Opatrzności; radził więc wynieść się z pod niego. Upomnienie jego poparł w téj chwili huk grzmotu, bo w skutek silnego wstrząśnienia mógłby nas niespodziewanie kamień przykryć na wieki, udaliśmy się zatém pod drugi głaz, lecz było to nędzne schronienie, bo woda ściekała z kilku stron; uradziliśmy więc daléj ruszyć, nie dbając o niebieską rosę, która nas po grzbiecie nielitościwie skrapiała. Szliśmy zupełnie w wodzie, bo po dolinie zewsząd szumiały potoki, rozlewające się szeroko po trawnikach i po kamieniach. Wiedząc o istnieniu szałasu po nad Wielkim Stawem, chcieliśmy się do niego dostać dla osuszenia i chwilowego przy ogniu odpocznienia, lecz nas spotkał niemiły zawód. Wyszło mi z pamięci, że to Białczanie w nim tworzą osadę pasterską i że to szałas jak chlew, gdzie tylko białczańscy juhasi i im podobne istoty mogą przesiadywać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd literatury zagranicznéj.

Fr. Spielhagen: „Was die Schwalbe sang.“ Roman in 2 Bd. Leipzig 1873, bei L. Staackmann.

Nie ma nic pretensjonalniejszego a więc śmieszniejszego na świecie jak strona, która robi się sędzią. Stara panna rozprawiająca o powabie dojrzałych wdzięków, ogrodowy przysięgający, iż jego pasternak smaczniejszy jest od ananasów sąsiada, kupiec lub fabrykant wmawiający, iż tylko u niego dostać można w najlepszym gatunku towaru, którego poszukujemy, są takimi samymi samochwalcami i wyznawcami amerykańskiego humbugu jak powieściopisarz lub dramaturg rozpisujący się w przedmowie o własném dziele.

Wynalazcami takiego literackiego humbugu nie są jednak teraźniejsi, z gorączkowym pośpiechem na obstalunek pisujący autorowie — a jeżeli takie potęgi jak Molière i Beaumarchais nie pogardzali obiecującemi przedmowami, nic dziwnego, że taki Assolant i Dumas, taki Gottschall i Spielhagen rozpisują się obszernie o moralnéj i estetycznéj doniosłości dzieł swoich własnych.

Nie wspominalibyśmy zupełnie o tych objawach autorskiéj arogancji, gdyby nie przedmowa, jaką p. t. „Ueber die Gränzen des Romanes“ dołączył Spielhagen do najnowszéj swojéj powieści „Was die Schwalbe sang.“ W przedmowie téj dowodzi autor, iż na najwyższym szczeblu utworów literatury nadobnéj stoi romans, romans zaś sam tak powinien być zbudowany jak ten, który teraz czytelnikom podaje.

Obie części tak postawionego twierdzenia są nietylko śmieszne ale błahe; po pierwsze bowiem kwestja, kto w rzędzie literatury nadobnéj pierwsze zajmuje miejsce, powieściopisarz, dramaturg czy liryk, względnie tylko postawioną być może; powtóre zaś, niepodobieństwem jest uważać romansu Spielhagena za modłę dla wszelkich innych, łatwo bowiem stać się może, iż pierwsza lepsza z wykonanych mistrzowsko powieści nie odpowie ani jednéj z postawionych przez Spielhagena zasad — jak im w wielu miejscach nie odpowiada sam romans „Was die Schwalbe sang.“

Utwór ten różni się od poprzednich tego wysoce w Niemczech cenionego autora. Tamte miały zwykle za przedmiot kwestje dotyczące bezpośrednio teraźniejszości, ten zaś cofa się w akcji o jakie lat 40, jak to sam autor kilkakrotnie wzmiankuje. Gdyby nie te wskazówki, oznaczenie czasu akcji byłoby trudne, o politycznych bowiem i religijnych kwestjach nie ma mowy, język zaś i pojęcia o miłości, małżeństwie i powołaniu artystycznem, które autor rozwija, zostały od tych lat 40 niezmienne jak w ogóle cała powierzchowność towarzyskiego życia w Niemczech.

Opowiadanie treści dwutomowéj powieści, byłoby niewdzięczném zadaniem, ograniczymy się zatém na krótkiéj wzmiance.

Gotthold Weber porzuciwszy karjerę teologa którą przeznaczył mu jego ojciec pastor, oddał się z powołania zawodowi artysty. Po długiéj nieobecności wraca do rodzinnéj wioski nad brzegiem północnego morza. Jaskółki bujają po nad długą ulicą świergocąc do ucha artysty prześliczną piosnkę Rückerta „Aus der Jugendzeit.“

Gorąco w latach młodzieńczych ukochana Cecylja Wenhof została żoną Brandowa, śmiertelnego wroga naszego bohatera, łotra, który dziwném tylko zrządzeniem losu nie dostał się jeszcze do kryminału. Gotthold Weber przekonywa się, iż kobieta, któréj kochać na chwilę nie przestał, jest nieszczęśliwą nad wszelki wyraz — widzi nadto, iż pomódz jéj żadną miarą nie może.

Coraz to smutniejsze obrazy następują po sobie, ani jedna iskra humoru nie rozświeca ponurego tła akcji i opowiadań poruszających często do głębi duszy.

Rozwiązanie jest takie, iż Brandow, który ustawił istną piramidę ze zbrodni i występku, kręci kark podczas wyścigów w chwili sportsmańskiego tryumfu, Cecylja zaś odjeżdża z ukochanym na południe.

Około téj prostéj — kilku słowy zaledwie dotkniętéj — głównéj akcji, snuje się mnóstwo kunsztownie powiązanych i zajmujących epizodów. Słabą stroną powieści jest charakterystyka osób a zwłaszcza na pierwszym planie działających. Bierna indywidualność Cecylji zjednywa sobie nasze współczucie przedewszystkiém dla tragicznych stosunków, pośród których poruszać się musi, nie zaś dla osobistego swego piętna jako typ nieszczęśliwéj kobiéty. Równie słabo nakreśloną jest postać Gottholda. Człowiek ten, jak większość Spielhagenowskich bohaterów, choruje na doskonałość — nie widząc jego słabostek i usterek, nie umiemy ocenić jego cnót i zalet — oblicze zaś jego, na którém autor zatuszował starannie każdą zmarszczkę, przedstawia się raczéj jako maska niż jako żywa twarz ludzka.

Z głównych postaci najwięcéj zajmuje nas łotr Brandow. Przeciwstawienie jego niepospolicie podłego charakteru i moralnego nicestwa do zalet towarzyskich i gentlemańskiego savoir vivre przedstawia w całym blasku prawdy jeden z tych typów, jakie się niestety nawet w najlepszém towarzystkie dość często spotyka. Jedyne, co téj postaci zarzucić można, jest przeładowanie jéj zbrodniami, podpadającemi pod różne paragrafy kodexu karnego. Autor zapomniał widocznie, iż są zbrodnie nieprzewidziane prawodawstwem, straszniejsze jeszcze od mordu i oszustwa, które tacy Brandowowie właśnie popełniać zwykli, wystrzegając się bacznie wszystkiego, coby wprost zaprowadzić ich mogło na ławę oskarżonych.

Postacie epizodyczne również po mistrzowsku są przedstawione i pod każdym względem przewyższają w obrobieniu i ramach postacie głównych bohaterów.

Kompozycja nie jest silną stroną talentu Spielhagena — w powieści jednak o któréj mówimy, jest staranną, iście artystyczną. Spielhagen pogardza zawsze grubemi efektami i nie ugania się za poklaskiem tego tłumu czytelników, który rozrywa między sobą każdą powieść przepełnioną okrucieństwami i na nerwowe wzruszenia obrachowanemi sytuacjami — Spielhagen za mało może dba o swoją publiczność a zanadto folguje własnym popędom i predylekcjom — ztąd pochodzi, iż wszedłszy na ulubiony sobie temat, zbyt rozwlekle i detalicznie się rozpisuje, nie oszczędzając czytelnikom ani jednego z drobiazgowych szczegółów.

Wszystkie powieści Spielhagena zalecają się pięknym kolorytem i żywą opisowością — w romansie „Was die Schwalbe sang“ zalety te znikły, koloryt zawsze jednako posępny, a na domiar nie ma ani jednéj świeżéj młodzieńczością postaci, którąby go błyskami werwy rozjaśniać mogła.

Nie wchodząc w inne drobne usterki i zalety, romans ten polecamy.

Mrs. Grote: „The personal life of George Grote.“ (Compiled from family documents, private memoranda, and original lettres to and from various friends). London 1873.

Rozgłośny historyk angielski Jerzy Grote znany jest powszechnie na całym europejskim kontynencie jako autor olbrzymiego dzieła o historji Grecji, które dawszy powód do licznych sporów naukowych, przyczyniło się do wyjaśnienia wielu wątpliwych podań z dziejów starożytnéj Hellady. Sądzimy, iż krótka wiadomość

o dziele wydaném przez wdowę uczonego Grote'a będzie zajmującą dla naszych czytelników.

Jerzy Grote urodził się 1794 roku. W 1814 roku poznał młodą i piękną Miss Lewin, z którą ożenił się po 5 latach bolesnych zapasów z przeciwnościami. Wspomnienia, które pani Grote teraz ogłosiła, dają nam obraz najszczęśliwszego małżeńskiego pożycia, jakie sobie tylko wyidealizować można. Pani Lewin-Grote nie należała widocznie do owego zastępu kobiét, które bezwiednie i na oślep miotają się po manowcach fałszywéj emancypacji, by tam poniewierać istotę kobiécéj natury i nie dobić się nigdy prawdziwéj emancypacji, polegającéj przedewszystkiém na wyzwoleniu się od próżności w sercu i głowie i od tych rozlicznych śmiesznostek w pojęciach i postępowaniu, które tak bardzo poniżają kobiétę. Pani Lewin-Grote była wierną i poważną towarzyszką męża, biorącą żywy udział w jego badaniach i pracach, podającą mu myśli, podniecającą jego ducha. Widząc, iż mąż każdą wolną chwilę poświęca studjom starożytnych pisarzy, zachęciła go do pisania historji greckiéj, która istotnie za jéj przyczyną rozpoczętą została i między rokiem 1841—56 wyszła w 12 tomach. Udział, jaki w tém dziele wzięła, nie ograniczał się tylko na wypisach i korekturze, ale na wielu uwagach którym Grote chętny dawał posłuch, znając krytyczny zmysł swéj żony. Z dzieła jéj nabieramy wyobrażenie, jak wielostronną była czynność Grote'a. Oprócz studjów nad klasyczną starożytnością oddawał się gorliwie polityce i używał sławy znakomitego mówcy w parlamencie. Pisał broszury o reformie parlamentu i wychowaniu a wielkie dzieło reformy w 1832 r. zastało go na ławie reprezentantów i doczekało się z jego strony skutecznéj pomocy.

Ofiarowanéj sobie godności para Anglji nie przyjął szlachetny Grote, dając za powód odmowy, iż w izbie posłów pożyteczniéj działać może. Oprócz tych zajęć odznaczał się Grote jako przemyślny kupiec, nauczyciel i wielce wpływowy członek wielu towarzystw. Oschłość i pedanterja obce były zupełnie umysłowi tego człowieka, który posiadając, dzięki żonie, istny raj w domu, wychodził z niego silny i swobodny, by toczyć boje na polu publicznych obowiązków.

Wspomnienia pani Lewin-Grote obejmują również obraz domowego pożycia i codziennych zajęć. Kartki te czytają się z niewymownem zajęciem, niemal z rozkoszą. Odkładając książkę czuje się mimowolnie, że życie może być pięknem a szczęście — rzeczywistością.

Edmondo de Amicis: Novelle. Firenze, Le Monnier 1872.

Młody, poczynający autor leżącego przed nami zbiorku nowelli czerpie przedmiot do swych opowiadań z obszernego pola codziennego życia teraźniejszości. Nie ma tam wyszukanych frazesów ani drażliwych lub drażniących sytuacji, ani psychologicznych subtelności; ale jest zdrowe ziarno szczeréj prawdy, podane w formie prostéj choć nader zajmującéj i starannie opracowanéj. Autor posiada widocznie nierównie więcéj daru spostrzegawczego aniżeli bujnéj wyobraźni, niemniéj jednak niepozorny temat staje się zajmującym tak ze względu na dziwnie zręczną charakterystykę, jak na zręczniejsze jeszcze pochwycenie go na gorącym uczynku.

Ze szczególném zamiłowaniem kreśli autor obrazy z życia biednych klas ludu, z pomiędzy których mianowicie zajmuje czytelnika obrazek przedstawiający rekruta — który nie chcąc się poddać obowiązkowi służby wojskowéj, mimo przedstawień zacnego proboszcza i kochającéj go dziewczyny, kaleczy się bardzo niezręcznie, tracąc tym sposobem honor, wolność, zdrowie i niszcząc szczęście narzeczonéj. Inne obrazki kreślą nam dzikość i nierząd w prowincjach południowych Italji, najpiękniejszém jednak ze wszystkich jest opowiadanie młodego żołnierza o wejściu wojska włoskiego do Rzymu.

Aby z ważnym tym wypadkiem pogodzić klerykalnych członków rodziny — opowiada młody ochotnik, jak zgromadzony przy bramie Śgo Piotra lud rzymski na kolanach starał się zmiękczyć serce Ojca świętego i jak w odpowiedzi na te prośby z okien Watykanu zawiała narodowa bandera na znak zgody Stolicy apostolskiéj z królem wolnych i zjednoczonych Włoch, na znak zgody kościoła z państwem.

Wieczorem tegoż dnia przychodzi w odwiedziny miejscowy proboszcz a uszczęśliwione kobiéty powtarzają mu radosną nowinę. Bystry ksiądz, poznawszy się na wybiegu ochotnika, woła: w tém wszystkiém nie ma na szczęście ani słowa prawdy.

Księże proboszczu — odpiera żołnierz — powiedz raczéj niestety — wszak jesteś Włochem?

O tak, powiedz niestety, — woła cała rodzina.

Nigdy i przenigdy! odpowiada proboszcz, poczém wychodzi na wezwanie oburzonego pana domu.

Widzimy z tego co się powiedziało, jaką prostotą tchnie praca autora „Nowelli.“ Uznając prawdę słów wypowiedzianych przez Giulio Carcana w powieści „Angiola Maria“, iż życie najprostszego człowieka zawiera w sobie równie budujące nauki jak historja rozgłośnych zdobywców świata, ustrzegł się również de Amicis właściwego włoskim autorom djalektycznego bombastu i jaskrawych terminów, idąc tym razem za radą niezrównanego Massimo d'Azeglio, który w chwili dobrego humoru powiedział swoim kolegom: „Trzymajcie pióro nietylko w palcach, ale i w ustach.“

Dr. W. M. O.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— **G. H. Niewęgłowski**, profesor analizy w szkole wyższéj polskiéj Montparnasse, egzaminator matematyki w liceum Śgo Ludwika w Paryżu, wydał kosztem hrabiego Jana Działyńskiego kilka dzieł matematycznych, które ogólnie bardzo przychylnego doznały przyjęcia. Świeżo wydał on również nakładem hr. J. Dz.: „Kurs mechaniki rozumowéj.“ Tom I, zawierający statykę i dynamikę punktu. Paryż 1873, str. XVI, 544. (Cena 3 tal. 10 sgr.). Dzieło to, poświęcone przez wydawcę pamiątce tegorocznego jubileuszu Kopernika, przypisał autor „Janowi hr. Działyńskiemu, swojemu dawnemu uczniowi — jako uznanie zasług na polu narodowéj oświaty.“

* * *

— Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszedł tom XIII Pamiętników z XVIII wieku — zawierający ciekawe Pamiętniki generała Lwa Mikołajewicza **Engelhardta**, przełożone z rosyjskiego oryginału, tudzież notami i dokumentami co do rzeczy polskich objaśnione przez **P. K., stolnikowicza chełmskiego.**

* * *

— Wyszło w Poznaniu trzecie; ozdobione licznemi rycinami, wydanie „Dziejów Narodu polskiego dla ludu polskiego i młodzieży“ **Józefa Chociszewskiego.** Dziełko to sumiennie polecić możemy naszym Czytelnikom.

* * *

— Nakładem księgarni **Aleksandra Nowoleckiego** w Krakowie wyszła w ozdobném wydaniu tragedja Adama Asnyka (E...ly) „Cola Rienzi“, o któréj podał obszerniejszy referat w Nr. 19 „Tygodnika“ nasz krakowski korespondent, zaraz po pierwszém wystawieniu w teatrze krakowskim.

Tymże samym nakładem wyszła nowa bezimienna broszura polityczna p. t. „Uwagi nad kwestją połączenia Polski z Rosją“, o któréj późniéj obszerniéj pomówimy.

* * *

— Znakomitego dzieła **Henryka Taine'a** „O inteligencji“ wyszedł nakładem Redakcji „Niwy“ w Warszawie zeszyt II w tłomaczeniu Stanisława Tomaszewskiego.

* * *

— Powieść **Zacharjasiewicza** „Chleb bez soli“ drukuje w czeskim przekładzie dziennik „Pokrok.“

* * *

— **Bibljoteki dla Młodzieży,** wydawanéj w Krakowie pod kierunkiem Konstantego Wojciechowskiego, wyszedł zeszyt V i zawiera: „Posługacz“, powieść; — „Cudowne ocalenie“, powieść; — „Przeobrażenie“, bajka z greckiego; — „Wilk i lis“, bajka; — „Jadwisia“, powiastka; — Rozmaitości.

* * *

— P. **Stanisław Miłkowski** przełożył na język polski wyborne dziełko p. t. „Mały poszukiwacz złota“, napisane przez Gerstäckera, dla dorastającéj młodzieży, które wkrótce wyjdzie z druku nakładem G. Sennewalda w Warszawie.

* * *

— **Tutejsze Towarzystwo wzajemnéj pomocy „Ul“** ogłosiło sprawozdanie półroczne za czas od 1 stycznia do 30 czerwca r. b. Wedle niego miało Towarzystwo, zawiązane dnia 1 stycznia 1872, sądownie zapisane 12 października 1872, w roku zeszłym dochodu 18,689 tal. 12 sgr. 10 fen., rozchodu 18,468 tal. 23 sgr. 10 fen., tak że dnia 31 grudnia było w kasie 220 tal. 19 sgr., w półroczu zaś, które się skończyło dnia 30 czerwca r. b. dochodu 50,021 tal. 28 sgr. 9 fen., rozchodu 49,694 tal. 22 sgr. 6 fen., tak że w dniu tym było w kasie 327 tal. 6 sgr. 3 fen. Towarzystwo posiada obecnie następujące handle: 1) Handel węgli i drzewa, założony 1 września 1872, Półwiejska ulica nr. 8. 2) Skład skór wyprawnych, założony 17 października 1872 we własnym domu, Ślusarska ul. 6. 3) Handel łokciowy, założony 7 grudnia 1872, Kramarska ul. 8. 4) Handel obuwia, założony 1 kwietnia 1873, Butelska ulica 6. 5) Handel mebli, założony 9 czerwca 1873, Butelska ul. 6. 6) Handel skór i łokciowy w Wronkach i 7) Handel skór surowych.

Biuro „Ula“ znajduje się obecnie Butelska ul. nr. 6, od 1 października 1873 przy Ślusarskiéj ul. nr. 5, we własnym domu na I piętrze. Biuro jest otwarte w dni powszednie od godziny 9 rano do 1 w południe i od 3 do 5 po południu. Członków liczy Ul około 350.

Towarzystwo posiada dwie nieruchomości t. j. przy Ślusarskiéj ul. nr. 6, kupioną za 21,000 tal. i przy Długiéjj ul. nr. 3, kupioną za 16,500 tal.

Z innych urządzeń wspominamy jeszcze: Czytelnia Ula, licząca przeszło 100 książek i Szkoła wieczorna dla dorosłych o 2 oddziałach, do któréj uczęszcza 25 członków Ula. Uczniowie ci, między którymi są mężowie liczący i 40 lat życia, czynią dobre w naukach, a mianowicie w rachunkach postępy.

Za powierzono Towarzystwu depozyta i oszczędności niżéj 50 tal. płaci po 4 tal. na rok od sta, wyżéj 50 tal. po 5 tal. od sta za 3 miesięczném, a 6 tal. od sta za 6 miesięczném wypowiedzeniem. Za kwoty, które można każdego czasu odebrać, płaci 4 tal. od sta. Ul płaci zatém najwyższe procenta i daje zupełną pewność, gdyż wszyscy członkowie ręczą za bezpieczeństwo powierzonych pieniędzy swemi majątkami. Kasa oszczędności n. p. na ratuszu płaci tylko 3 tal. 10 sgr. a za wyższe nad 200 tal. sumy tylko 2⅓ tal. Uprasza zatém o powierzanie mu depozytów i zachęcanie krewnych, przyjaciół i znajomych do składania.

Towarzystwo zamierzyło budować tanie mieszkania, w tym celu zakupiony grunt przy Długiéj ulicy nr. 3. W celu uzyskania odpowiednich funduszów wydawać się będą udziały na 10 i 100 tal., które będą przynosiły 5 procent. Po kilku latach będą te udziały losowane. Za bezpieczeństwo udziałów ręczyć będzie hypoteka gruntu przy Długiéj ul. nr. 3 i całe Towarzystwo.

Skrzynka do listów.

— Panu J. B. w Nancy: Zakładając w pierwszych dniach października b. r. księgarnię i artykwarnię, z łatwością może znajdziemy odbiorców na wiadome litografje, o nadesłanie których prosimy.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.